№ 1. Warszawa, dnia 26 Grudnia (7 Stycznia) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.



PAPIEŻ LEON XIII.

Papież Leon XIII.

W miasteczku Carpineto leżącem w pośród gór, zaludnionem prostym górskim ludem, w jedynym w całej okolicy pałacu, zwracającym na siebie uwagę wędrowca, urodził się dnia 2 Marca 1810 roku Wincenty, Joachim, Rafael, Ludwik Pecci, obecnie O. Św. Papież Leon XIII.

W początku bieżącego stulecia, głowa starożytnej rodziny Pecci wywodzącej ród swój od Benwenuta Pecci kawalera maltańskiego, urodzonego w roku 1340, był Dominik Ludwik, który idąc za przykładem przodków swoich, poświęcił się służbie wojskowej i został pułkownikiem za Napoleona I. Ten to Benwenuty, ożeniony w roku 1791 z Anną Franciszką Prosperi de Cori, jest ojcem dzisiejszego Papieża, któremu nadane zostało imię Wincenty, na wyraźne żądanie matki, mającej wielkie uwielbienie dla świętego Wincentego Terreri biskupa Walenzii.

Była to kobieta niepospolitych zalet serca i umysłu. Mężowi swemu dopomagała w zarządzie dóbr; dochodem z hodowli jedwabników, utrzymywała dwóch starszych synów w kolegium jezuickiem; dla ubogich była prawdziwą opatrznością, codziennie rozdawała im chleb i kukurydzę, a chorych pielęgnowała często, nawiedzając chaty ubogich górali. Poważana powszechnie tak znaną była w całej okolicy ze swych uczynków miłosiernych, że gdy raz banda rozbójników spotkała ją powracającą samą jedną do domu od ubogiej rodziny, rozbójnicy nietylko jej nie zaczepili, ale gdy ich mijała z szacunkiem poodkrywali głowy.

Państwo Pecci mieli siedmioro dzieci, pięciu synów i dwie córki, dzisiejszy Papież szósty z porządku, rozpoczął nauki bardzo wcześnie, wósmym bowiem roku życia, oddany został wraz z bratem Józefem do kolegium Jezuitów w Witerbo, gdzie pozostawał do zgonu matki swojej w roku 1824 potem udał się do Rzymu i tam przy stryju zamieszkał.

Dalsze wykształcenie pobierał w wiecznem mieście w *Collegio romano*, gdzie odznaczał się w naukach a czując powołanie do stanu duchownego poświęcił się studyom teologicznym. Otrzymawszy doktorski wieniec laurowy, wstąpił wreszcie do akademii *ecclesiastica*, którą ukończył ze stopniem doktora i w roku 1837, w kaplicy utworzonej z pokoju, w którym umarł święty Stanisław Kostka, otrzymał święcenie kapłańskie.

Wybitnemi zdolnościami i nauką, młody kapłan niebawem zwrócił na siebie uwagę najwyższej władzy duchownej i w roku 1843, mając zaledwie lat 33, mianowany został arcybiskupem Damietty *in partibus infidelium*, oraz nuncyuszem w Brukselli. Na stanowisku tem potrafił zyskać względy króla Leopolda I-go, tak że ten prosił dlań o kapelusz kardynalski i Grzegorz XVI-ty prośbie tej nie odmówił i mianując kardynałem *in petto*, powierzył mu w roku 1846-ym pasterstwo nad dyecezyą perugijską w Umbryi. Pius IX-ty prekonizował arcybiskupa Pecci na kardynała i mianował go kamerlengiem papiezkim, który w razie śmierci Papieża jest podczas bezkrólewia najważniejszą osobą w Świętem kolegium.

Niewielu ludzi, podniesionych przez los do tak wysokiej godności, pędzi życie równie odosobnione jak następca Piusa IX. Z natury niezbyt towarzyski, Ojciec Święty przyjmuje tak czynny udział w sprawach kościelnych, iż rzadko bardzo może poświęcić cenny swój czas tłumom odwiedzających go osób.

Wielki przyjaciel sztuk pięknych, w drodze do ogrodu często bardzo zatrzymuje swój orszak w muzeach Watykanu, wysiada z lektyki i ogląda skarby w nich zawarte, jakkolwiek tak dobrze mu już znane.

Postępowanie Ojca Świętego z otoczeniem cechuje uprzejmość i dobroduszny humor, którego wynikiem są częste niewinne żarty z kardynałów i warty szlacheckiej, cieszącej się specyalną życzliwością Papieża. Z gwardyą tą Leon XIII-ty najchętniej rozmawia podczas przechadzek w ogrodzie watykańskim, dopytuje się oficerów i żołnierzy będących na służbie o ich pochodzenie i zajęcie; wymaga żeby czytali różne dzienniki i byli obeznani ze sprawami bieżącemi, tak aby zapytani przez niego mogli wyrazić swoje własne zapatrywanie na daną kwestyę. Niekiedy Ojciec Święty lubi dowiadywać się od gwardzistów o pogłoskach, obiegających co do jego własnej osoby i jego rządów. Radzi ich się też niejednokrotnie w sprawach hodowli kwiatów i roślin ku wielkiemu niezadowoleniu najstarszego ogrodnika *sor Cesara*, zrozpaczonego, gdy na propozycyę, którego z gwardzistów, będących w większej części rolnikami; Papież zarządza jakie zmiany.

Sor Cesare wiecznie wzdycha żałośnie, albowiem Ojciec Święty, żartując z niego wespół z gwardzistami, czyni go odpowiedzialnym za wszelkie niepowodzenia w hodowli kwiatów, zmianą powietrza i temperatury wywołane. Jedyną pociechą i kompensatą staruszka za strapienie, są tryumfy osiągane na polu hodowli ulubionych kwiatów Papieża. Z wiązanką róż, kamelii i olbrzymich, jaśniejących świetnemi barwami bratków, zbliża się on codziennie, w danej porze, do swego pana, wymienia pompatycznie nazwy kwiatów po łacinie i wręczywszy Papieżowi bukiet oddala się. Ojciec Święty podziwia wspaniałe kwiaty podczas przechadzki, a następnie niezmiennie oddaje bukiet pełniącym służbę gwardzistom.

Czas poświęcony na rozrywkę dzieli Papież między rośliny i niemniej przezeń ulubione zwierzęta. W bibliotece, gdzie spędza większą część dnia, posiada piękną klatkę, zamieszkałą przez rodzinę czyżyków, których śpiew niejednokrotnie odrywa go od pracy. Ptaki nie opuszczają nigdy swojej siedziby w bibliotece, nawet wówczas, gdy Ojciec Święty przyjmuje u siebie na godzinę wszystkich kardynałów, prałatów, tajnych podkomorzych i gwardyę szlachecką a ptastwo straszliwie świegoli.

W ogrodzie znajduje Leon XIII-ty cały świat zwierząt, podzielonych na dwie kategorye: wrogów i przyjaciół. Do pierwszej należą niszczyciele jego ulubionych roślin, druga obejmuje gołębie, papugi i rzadkie a nieszkodliwe gatunki zwierząt.

ADAMOWI PŁUGOWI

(ANT. PIETKIEWICZOWI)

w czterdziestym roku jego literackiej pracy.

Po ojczystej, szarej glebie
Wiedziesz ciężki pług,
Jak rolniku uczcić Ciebie,
Spłacić święty dług?

Wspólnie z młodą, gwarną dziatwą,
Idziesz śmiało w bój,
Pracę cichą, lecz niełatwą
Wskazał sztandar twój!...

Rozkochany, zapatrzony,
W ciemnych lasów śpiew,
W szare, płowe te zagony,
Porzuciłeś siew...

Boleść, żałość, praca długa,
Zlana potem skroń —
Z rękojeścią twego pługa,
Skojarzyły dłoń.

Nie dla pochwał słodko brzmiących,
Dla zaszczytów, chwał,
Ty, jak jeden z kochających
Będziesz pieśni słał.

Cel twej drogi brać poznała,
Dziś wszem sercom znan —
Pieśni miłość wywołała
I ten... szary łan.

Dziś przy innych Ci życzeniach,
Cóż ja złożyć mam?
Jak najdłużej w pracy, pieniach —
Bądź zachętą nam...

W. Karoli.

JUBILEUSZ ADAMA PŁUGA,

(ANTONIEGO PIETKIEWICZA).

W tygodniu przedświątecznym w salonie Deotymy, w licznym gronie ze sfery naszej inteligencyi, literatury, sztuki i prasy, oraz dostojników Kościoła J. Eks. arcybiskupa Popiela i biskupa sufragana ks. Ruszkiewicza, odbyło się uroczyste uczczenie czterdziestoletniej pracy i literackiej zasługi Antoniego Pietkiewicza znanego powszechnie pod przybraną nazwą Adama Pługa.

Pierwsza praca, z którą wystąpił na widok publiczny w Wilnie w roku 1847, była Wigilia ś-go Jana i odtąd poświęciwszy się wyłącznie literaturze i zawodowi pedagogicznemu, pisał jak się wyraził sprawozdawca Gazety Polskiej i wychowywał młodzież *z ducha i krwi* na dzielnych starając się kształcić obywateli dla kraju: literaturę uwa-

żał jako drzewo święte, na którem przez całe życie nie zaszczepił ani jednej złej skrzywionej płonki: poezyę kochał i czcił *pamiątki domowe* a na *zagonie rodzinnym* siał zawsze najczystsze ziarno szlachetnych uczuć i podniosłych myśli, by nie dopuścić *zarazy* do serc młodych: w miłości prawdy, piękna i dobra piastunkę ich jedyną upatrywał, jako zaś człowiek i pisarz tej prostej w życiu, czynach i pismach swoich trzymał się zasady: kochaj bliźniego jak siebie samego a Boga nadewszystko.

Ludwik Jenike, najstarszy kolega jubilata i senior redaktorów powitał Pługa serdeczną przemową, składając mu wyraz ogólnego uznania i uczuć: Jan Zacharyasiewicz dołączył hołd od nieobecnych, a Deotyma w pięknej i poetycznej parafrazie ludowej pieśni dożynkowej, uczciła tego *gospodarza na rodzinnej niwie*, który zasłużony plon swej pracy zbierał. Damy z wieńcami świeżych kwiatów i wawrzynowych liści otoczyły Pługa, który w długiej, a serdecznej mowie dziękował za hołdy uznania, za dary wspaniałe, za dzień najszczęśliwszy w swem życiu, przypisując nie swoim literackim zasługom, ale łasce losu i miłości bratniej to wszystko, co go spotkało po latach czterdziestu orki na niwie piśmiennictwa polskiego. Nie szukał sławy i rozgłosu, szukał zawsze miłości bratniej i widzi, że chyba musiał na nią zasłużyć, skoro go tak bratnie serca wzięły w niewolę.

W jubileuszowym upominku ofiarowano Pługowi piękne album w srebro oprawne, z godłem jego pseudonimu i pracy, a w albumie około 300 kart z autografami wszystkich celniejszych naszych pisarzy współczesnych, malarzy i muzyków. Bogato rzeźbiony stół, jako podstawa na album i takiż fotel skórą wybity z inicyałami jubilata stanowiły uzupełnienie daru.

Pomiędzy temi kartkami z autografami czcicieli zasług szanownego Jubilata, jedną z nich przepisujemy poniżej w całości, jako dopełnienie pragnienia złożenia osobiście życzeń do wynurzenia których brakło sposobności. Autograf ten brzmi jak następuje:

Zacny mój i kochany Bracie!

Czy przypominasz sobie pierwszy list jaki napisałeś do mnie w roku zdaje mi się 1852? Prosiłeś mnie w nim o współudział w przygotowaniu zbiorowego dziełka, wydanie którego zamierzyłeś. O ile sobie przypominam życzenie Twoje spełniając, posłałem ci opowiadanie o Kwestarzu, któremu jako nieudolnemu kark skręciłeś bez litości.

Nie żałuję go wcale, miało niezdarnością straszyć ludzi, lepiej że zginęło jak Szwed w Kampinowskiej puszczy. Ale nie idzie mi tu o poczciwego filozofa kwestarskiego, który skromny swój zawód przeniósł po nad wszystkie inne, tylko o przypomnienie Ci z tytułu tego pewnej małej okoliczności, która mi jak tyka przy chmielu silnie utkwiła w pamięci.

Trzeba Ci bowiem wiedzieć, że wówczas byłem bardzo chudym pachołkiem. Na malutkiem kilkowłókowem gospodarstwie, ogień zpopielił mi całoroczny plon z budowlami a zaraza zabrała cały inwentarz rogaty. Byłem więc zniszczony zupełnie i ze szczątkami bardzo skromnego mienia, mieszkałem wówczas w Warszawie, szczęśliwy, że miałem dach nad sobą, pewność na jutro obiadu i pełne sakwy... nadziei lepszej kiedyś doli.

Otóż w takiem położeniu, odebrałem od Ciebie list pierwszy z tytułem na wierzchu i w środku *jaśnie wielmożnego*.

A to trafił jak kulą w płot, pomyślałem sobie. Ja i jaśnie wielmożność to akurat taka para jak dyabeł z organistą. Nie zostałem też jaśnie wielmożnym jak i Ty, mój Bracie, mnie los postawił przy ludzie, uważanym przez Pisma nasze arcypobożne za ostatniego nędznika niegodnego stryczka, na którymby go powieszono, Ciebie przykuł do *pługa*, którego nawet przybrałeś nazwę, choć mu przy pracy gdy odrzuca skibę nikt nie czapkuje. A jednak szanują Cię bracia literaci, nawet najskorsi do potępienia wszystkich co do ich obozu nienależą: wielbią Cię wszystkie nasze poetki i literatki, poważają liczne rzesze czytelników, nazwa Pługa rozbrzmiewa wszędzie, gdzie tylko książka się wciska, z nieprzyjaciół nie masz ani jednego, przyjaciół tysiące, a choć dyplomu na tytuł jaśnie pana nie dorobiłeś się, mimo tego zostałeś istotnym dygnitarzem czci ogólnej i szacunku powszechnego, zapisanym niestartemi nigdy zgłoskami na pargaminie serca całego narodu.

Album jakie Ci przygotowano najlepszym tego dowodem. Pierwszym jesteś Ty co podobne odbierasz a zjednoczenie w niem tak różnorodnych żywiołów, występujących pod jedną chorągwią uczczenia Twej czterdziestoletniej pracy i zasług z niej wypływających, ma wielkie znaczenie. Podobnego nikt nie zdobędzie, tylko za skarb własnej zasługi. Tyś go posiadł, jakże wielkim zostałeś bogaczem! Gdy więc, mój zacny Bracie, zdobyłeś serc tak wiele, zostawże mi choć cząsteczkę własnego, ze skrytką dla starych wspomnień przeznaczoną. Jedno z nich wydobyłem na ofiarę dla Ciebie, przyjm je łaskawie i zachowaj jedno uczucie jakiem mnie przez lat prawie cztery dziesiątki niezmiennie darzyłeś.

J. K. Gregorowicz.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

I.

Dobrze przeczuwam plany i odgaduję taktykę naszej galicyjskiej cioci! Wiem doskonale co sprowadza ją tutaj, wraz z córkami i synem i choć jako gospodarska córka, będę naszym gościom bardzo rada, zdaje mi się, że cała ich czułość i fatyga, będą napróżno! Ja także mam już pewne poglądy, pewne wymagania i pragnienia, których urzeczywistnienia będę szukała w życiu a nie zdaje mi się, aby plany cioci były z niemi zgodne!

Słowa te wychodzą z ustek ślicznej szesnastoletniej dziewczynki, o kolorycie twarzy cygańskim i cygańskich wielkich czarnych oczach, która przerzucając w rączkach z cudowną szybkością kościane wałeczki koronkarskiej roboty, siedzi przy szerokiem oknie, po za którego kryształową szybą rozciąga się cudny krajobraz podolski, przesłonięty z lekka błękitnawym, mglistym kolorytem jesieni. Ma ona istotnie lat szesnaście, lata te patrzą jej z żywych oczu, puszystości ciemnawej świeżej twarzy i rozkosznych purpurowych usteczek, uśmiechających się ową ciągłą, bezwiedną radością młodości. Choć wysoką jest tak bardzo, że gdyby nie szkocka w grubą kratę sukienka, sięgająca zaledwie do kostek ślicznej nóżki w lakierowanym buciku, możnaby ją uważać za dorosłą pannę.

Zdanie powyższe, wyrzeczone z wielkiem przekonaniem i stanowczością, przy połysku oczu i uśmiechu niemal dziecięcym, powoduje wybuch głośny śmiechu, dwóch drugich pań, siedzących w głębi saloniku.

Jedna z nich rozłożona wygodnie na aksamitnej szafirowej sofce, z książką w ręku, wspaniała i wysoka, w sile wieku i nieco rozrzuconej piękności kobieta, jest hrabiną X i matką siedzącej przy oknie dziewczynki. Druga, także brunetka, także bardzo ładna, nieco tylko niższa i poważniejsza panienka, pochylona nad rysunkiem przy stole, jest trochę starszą jej siostrą.

Obie one śmieją się głośno, patrząc na dziewczynkę, która uśmiecha się także, nieprzestając pracować.

— Proszę, proszę, po raz to pierwszy dowiadujemy się, że panna Anna posiada też już marzenia pewne i pragnienia — śmiejąc się mówi wspaniała dama. — Zdawało mi się, że dotąd jedynem twojem pragnieniem, jest zadawalający stan zdrowia twej Kasztanki, a marzeniem sprawienie dla Ścigłego nowej obroży?

— To prawda, mameczko, że jak dotąd, maleńkie te radości, wystarczały mi zupełnie. Od czasu przecież, gdy poczęło grozić mi niebezpieczeństwo, w postaci kuzynka Endymiona, który jak ów miecz Damoklesa wisi nade mną i najdalej za trzy godziny runie mi nad głową, poczęłam zastanawiać się i zdawać sobie sprawę do czego będę zdolną, lub niezdolną? Czego będę chcieć, lub nie chcieć? Czego będę szukać na świecie, lub unikać?

Dziewczynka wymawia to z uśmiechem, nie odrywając oczu od pracy, podczas gdy matka patrzy na nią z uśmiechem żartobliwym na ustach, lecz z głębokiem zadowoleniem w oczach i twarzy.

— Jeśli tak, to raczże objaśnić i nas także, czego to pragniesz i czego życzysz sobie? — pyta pobłażliwie.

— Zupełnie czegoś innego, niż życzy mi nasza galicyjska ciocia! — śmiejąc się odpowiada dziewczyna.

— Co ty wiesz, czego ci życzy ciocia której nie znasz i dlaczego wymyśliłaś sobie niebezpieczeństwo jakieś w osobie kuzynka Endymiona?—wtrąca starsza siostra.

— Oh, czy sądzisz, Antolko, że to tak trudno odkryć plany, tak wyrachowanej osoby jak nasza krewna? która przez całe życie trzymała się od nas na dość dalekiej stopie i zapałała ku nam gwałtowną sympatyą, teraz dopiero, gdy rodzice nasi posiadają córki dorosłe, a ona również dorosłego syna! Gdybyśmy wszystkie trzy były jeszcze do wzięcia, nie robiłabym sobie nic z tego, ale gdy Amelka wyszła za mąż, a ty jesteś już tak jak zaręczoną, przyznaj, czy nie mam racyi czuć się zagrożoną?

— Wielkie nieszczęście, dostać za konkurenta młodego, bogatego chłopca, który oprócz pięknego imienia, starannego wychowania i t. d., jest jeszcze podobno prześlicznym! — odzywa się Hrabina. — Wiesz Anusiu, że tak ja, jak ojciec, pozostawiamy wam z zasady prawo wyboru i nie narzucalibyśmy nigdy sercom waszem nikogo. Gdybyście przecież spodobali się sobie oboje z Endymionem, nie gniewałabym się o to bynajmniej! Twój kuzynek mo-

że się liczyć do bardzo dobrych partyi i niejedna panna uważałaby go za taką.

Dziewczynka przestaje pracować i podnosi na matkę wielkie, czarne oczy, błyszczące figlarnie.

— Mamo! — woła pół oburzona, pół z wyrzutem, ale zaraz urywa i poczyna pracować na nowo, ruszając ramionami. — Mama chyba żartuje, mówiąc: że wydałaby mnie za tego mego kuzynka — dodaje spokojnie. — Wiem, że rodzice oboje kochacie nad wszystko swe dzieci i chcecie zawsze tego tylko, czego pragną one. Wychowaliście nas rozumnie z tą myślą, że nauczywszy nas patrzéć w świat jasno, pozwolicie nam potem szukać szczęścia samowolnie! Pozwoliliście już pójść za głosem serca Amelce i Antolce, ja także zamyślam korzystać z mego prawa! To ślicznie, że Amelka pokochawszy bogatego hrabiego, zrobiła piękną partyę, co przyznają jej wszystkie panny naszej sfery! To jeszcze śliczniej, że Antolka wybrała sobie owego profesora, którego brat nasz Michał przywiózł na wakacye z Odessy, który wyszedł z ludu, który nazywa się Zacharowicz, a którego ojciec był prawdopodobnie Zacharem, ale który ma za sobą intigencyę ogromną, naukę wielką, energię niespożytą i zasługę wyniesienia się z gminu własnemi siłami, a przed sobą wielką i jasną przyszłość i jest partyą niezaprzeczenie znaczną także, przyzna to każdy człowiek rozumny, choć pani Sędzina i owa Prozorowicz nazywają to wyskokiem modno-demokratycznym. Ja przecież, nie kroję na żadną „partyę" i pragnęłabym dla siebie, jeśli już koniecznie każdej pannie potrzeba wyjść za mąż, wcale coś innego!

— Ciekawa rzecz, czego to po tak głębokiem zastanowieniu, szukać będzie w życiu serce naszej Anusi? — pyta wesoło hrabina.

— Człowieka ubogiego — odpowiada dziewczynka żartobliwie.

— Ubogiego! Jakto, koniecznie i nieodwołalnie?

— Koniecznie.

— Jak widzę, Aneczko, napadają cię fantazye. Dziwi mnie to, gdyż jak dotąd, nie uważałam abyś była romansową.

— Ja?! — woła wybuchając głośnym śmiechem dziewczynka. — To nie romans, ani fantazya, to przekonanie. Nigdy dawniej nie miałam czasu zastanawiać się nad wyborem, jaki kiedyś mogę uczynić, odkąd przecież spodziewamy się naszych gości, poczęłam zastanawiać się nad sobą i doszłam do przekonania, że niecierpię takich ślicznych, milionowych paniczów, którzy nic nie robiąc siedzą na fortunach pozostawionych im przez przodków, z lekkiem sercem puszczając zwolna, ciężką pracę swych ojców. Jeśli wyjdę kiedykolwiek za mąż, to chciałabym znaleźć sobie coś zupełnie przeciwnego. Wybiorę sobie człowieka zupełnie ubogiego, ale pochodzącego z dobrej, starej rodziny, który mając za sobą tradycye dawne i dumę, pracowałby na chleb dla siebie, zdobywając sobie każdą stopę gruntu pod nogami, własnemi rękami. Wówczas podzieliłabym się z nim z radością tem co posiadam i oparłabym się z dumą na takiem mocnem, twardem ramieniu.

— Na Boga! jakimże sposobem wymagasz od naszego kuzynka, aby miał tak twarde ramię i do jakiej to pracy chciałabyś go zapędzić? Nie wymagasz chyba, aby został szewcem, lub krawcem, będąc paniczem tak bogatym? — odzywa się śmiejąc panna Antonina.

— Niechże będzie czem chce, niechże będzie właśnie wielkim panem, ale on jak dotąd jest podobno wielkiem niczem! To to właśnie bieda wielka, że jak dotąd panicze nasi rozumieją bardzo rzadko co to być panem wielkim, który dlatego właśnie posiada przed sobą większy łan pracy, więcej obowiązków, niż ktokolwiek inny! — Anusia wymawia te słowa lekko, ale oczy jej błyszczą, przestaje pracować i przechyliwszy się w tył na krześle patrzy przez okno na front i zajazd pałacowy.

— Słuchamy dalej, Anusiu! Wszystko to co powiedziałaś nam przed chwilą, było bardzo piękne i rozumne. Radeśmy posłuchać więcej — mówi figlarnie Hrabina. — Dalej! dalej! doświadczona i zastanawiająca się nad sobą i światem staruszko! Kończ twoją prelekcyę, widzę już myśli rozumne przesuwające się po twem poważnem czole!

— Wcale nie, mameczko! — odpowiada śmiejąc się dziewczynka. — W tej chwili właśnie oddana jestem bardzo ważnej obserwacyi, naszego Jana.

— Jakiego Jana?

— Jana stangreta, który właśnie trzyma tu przed gankiem konia ojca.

— A to zajmujący przedmiot do obserwacyi! — wołają śmiejąc się matka z siostrą.

Panienka również śmieje się głośno.

— Właśnie, bardzo zajmująca osobistość! Ma w sobie coś... coś... dumnego, szlachetnego, coś nieokreślonego, co nazywamy zwykle dystynkcyą, a co rzadko spotyka się w ludziach tej kategoryi. Chodźcie tylko mamo i Antolko i patrzcie!

Obie panie żartobliwie poddają się woli młodej panienki, powstają z miejsc swych i podchodzą do okna, przy którem siedzi.

Za oknem, tuż przed werendą i wschodami pałacowemi, na szerokiej żwirowej drodze, okalającej strzyżony gazon zwarzony nieco pierwszemi chłodami jesieni, stoi dzielny siwosz pół tureckiej, pół kozackiej rasy, osiodłany w wygodną kulbakę, i wygiąwszy wspaniałą szyję, gryząc wędzidła, grzebie niecierpliwie żwir kopytem. Obok siwka, w postawie porządnego stajennego, jak przynależy, trzymając prawą ręką cugle krótko pod brodą konia, a lewą ich końce, wyprostowany stoi stangret Jan. Mając spodnie piaskowe, buty ze sztylpami i codzienną, stajenną kurtkę z grubego płótna, stoi bokiem do okna, z którego obserwują go panie i nieprzeczuwając tego, patrzy gdzieś daleko, zamyślonemi oczami, w szeroki krajobraz podolskiej ziemi.

Wygląda on na lat dwadzieścia sześć najwyżej, jest bardzo wysoki i zbudowany doskonale, twarz ma ściągłą, o pięknym profilu greckim, ogorzałą mocno, młody wąsik ciemnawy i oczy szare rozumne i myślące. W całej jego postaci szykownej, smukłej, pomimo parcianej kurtki, nodze i ręce małej i zgrabnej, jest istotnie coś, co pociąga oczy i zwraca uwagę, coś co śliczna Anusia nazywa poprostu dystynkcyą i wszystkie trzy panie, stojąc w wielkiej kryształowej szybie, przyznają to jednozgodnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MIŁOŚĆ WŚRÓD GWIAZD.

POGADANKA PSYCHOLOGICZNA

Kamila Flammariona.

Płomienne światła zachodu drgały w powietrzu blaskami złota, z wyżyn Passy otwierał się szeroki widok na gród olbrzymi, który dziś więcej niż kiedykolwiek był nie miastem lecz światem.

Wystawa powszechna 1867 roku zgromadziła w Paryżu cesarskim wszystkie pokusy i przynęty dziewiętnastego stulecia; kwiaty cywilizacyi zajaśniały barwami żywemi i strawiwszy się własną wonią marły w pełnym rozkwicie. Mocarze Europy zjechali do Paryża na świetną fanfarę, która dla monarchii była ostatnią, nauki, sztuki piękne i przemysł, wszystko rozrzucało swe płody z hojnością niewyczerpaną. Był to ogólny szał istot i rzeczy. Z muzyką na czele maszerowały po ulicach oddziały wojsk, krzyżowały się powozy, miliony ludzi poruszały się w kurzu, który zaległ aleje, wybrzeża i bulwary, nawet ten kurz w promieniach zachodu zdawał się aureolą wieńczącą miasto wspaniałe.

Wysokie gmachy, kopuły, wieże, dzwonnice, zapalały się łuną zachodu, dźwięki muzyki mieszały się z gwarem i szmerem płynącym zewsząd a zlewającym się w jedną całość, po cudnym dniu letnim, równie przepiękny wieczór napełniał duszę uczuciem błogości i zadowolenia, rozkoszy i szczęścia. Rzekłbyś, iż masz przed sobą symboliczną manifestacyę żywotności narodu, który stanął u szczytu chwały i powodzeń. Ze wzgórka Passy, z ogrodu wiszącego, jak niegdyś w Babilonie, ponad rzeką, dwoje ludzi wspartych o balustradę spoglądą na to gwarne widowisko.

Nad wzburzoną powierzchnią ludzkiego morza, szczęśliwi w samotności od atomów tej fali, nie należą do mass, lecz krążą nad niemi, w przeczystej atmosferze własnego szczęścia. Ich umysły pracują, kochają serca, lub wyrażając się jaśniej, ich dusze żyją na prawdę. W dziewiczej krasie ośmnastej wiosny, młoda panna rozmarzonym wzrokiem śledzi apoteozę zachodu, radując się, że żyje i jest szczęśliwa. Nie myśli ani trochę o milionach ludzi, którzy tam się ruszają pod jej stopami, patrzy ale nie widzi słońca, które się chowa w purpurowych chmurach zachodu, oddycha wonią róż, czuje w całej istocie swojej ten słodki spokój szczęścia, a w sercu dźwięki pieśni starej jak świat lecz zawsze świeżej, dźwięki hymenu miłości. Jasne blond włosy zamglonym nimbem okalają jej czoło, w modrych źrenicach opatrzonych długą, czarną rzęsą, znajdziesz odbicie lazuru niebios, ręce i szyjka śnieżnej białości, lica i uszy jaśnieją żywą karnacyą krwi młodej. Całość przypomina cokolwiek margrabinę malarzy ośmnastego wieku, jedną z tych istot, które zeszły na ziemię, aby ją wkrótce porzucić. Dziewczyna stoi, towarzysz, który przed chwilą opasawszy ramieniem smukłą jej kibić, przyglądał się z nią razem widokowi Paryża i słuchał grzmiących tonów cesarskiej muzyki, usiadł teraz na ławce. Wzrok jego porzuciwszy gwarną stolicę i zachód słońca, napawa się wido-

kiem uroczej przyjaciółki, wpatruje się w nią słodko a natarczywie, jak gdyby po raz pierwszy, nie mogąc się oderwać od ślicznego profilu, pieści go magnetycznem spojrzeniem.

Młody student patrzy a patrzy i wzroku oderwać nie może. Student w dwudziestym piątym roku życia. Alboż z nas który nie pozostaje nim na zawsze? a pan Chevreuil mając już lat sto jeden czyliż się nie nazywa dziekanem francuzkich studentów?

Jerzy Spero ukończył bardzo wcześnie studya w liceum, które jeśli nauczą czegoś, to chyba tylko metody pracy i z niestrudzonym zapałem szedł coraz głębiej w badaniu problematów nauk ścisłych. Od samego początku zaraz żywił sympatyę do astronomii, spotkałem go w obserwatoryum, gdzie wstąpił mając lat szesnaście i odznaczył się wkrótce dziwacznością usposobienia, gdyż niczego nie pragnie ani żąda awansu, jak wszyscy koledzy. W szesnastym roku życia, zarówno jak w dwudziestym piątym, czuł się w przededniu śmierci, przyszedł widać do wniosku, iż życie prędko mija, zbytecznem jest przeto pożądać czegoś więcej prócz nauki, okrom szczęścia badania i poznawania. Był nietowarzyski, choć w gruncie rzeczy wesoły jak dziecko. Usta małe, delikatnie zarysowane, przy bliższem rozpatrzeniu zdawały się uśmiechać, na pierwszy rzut oka, czytałeś w nich powagę i spokój. Oczy, których niepewny kolor przypomina niebieskawo zieloną barwę morza, mieniły się od światła i wewnętrznych wrażeń, w ogóle jednak łagodne, potrafiły zapłonąć ogniem błyskawicy, lub mrozić chłodem stali. Spojrzenie miał głębokie, czasem aż niezmierzone, nawet dziwne i tajemnicze, ucho małe, szerokie czoło, choć głowa ściśle biorąc, była nieduża, tylko powiększała ją znacznie obfitość włosów, wijących się w pierścienie.

Brodę miał piękną, ciemną jak włosy, wzrost średni, całość niezwykle powabna wdziękiem wrodzonym, naturalnym, pozbawionym wszelkiej przesady i przymusu.

Nie mieliśmy z nim żadnych bliższych stosunków ani ja ani moi przyjaciele, w dni wolne od pracy, w godzinach zabaw, nikt go nie spotkał. Zagłębiony w naukach, sądzićby można, że oddał się na całe życie poszukiwaniom filozoficznym kamienia, kwadratury koła lub *perpetuum mobile*. Nie miał przyjaciela, ja chyba tylko jeden i to nie wiem czy w zupełności, stałem się jego powiernikiem. Być może nawet, iż nie miał w swojem życiu osobliwszych wydarzeń oprócz jednego, którego byłem naocznym świadkiem.

Kwestya istnienia duszy najmocniej zajmowała jego umysł. Zagłębiał się w badaniu do takiego stopnia, iż uczuwał nieraz jak mrowie przechodzi mu pod czaszką, grożąc obłędem. Trafiało się to najczęściej, gdy analizując warunki nieśmiertelności, stracił z przed oczu rzeczywistość i wkroczył duchem w krainę wiecznego życia. Ujrzawszy własną duszę, chciał poznać wszystko i wszystko zbadać. Sam widok ciała, gdy sztywne i blade leży w trumnie, w dole głębokim, ostatniej strasznej siedzibie, pod trawą w której ćwierkają świerszcze polne, przerażał jego umysł równie jak niepewność przyszłości. Czem będę? co się stanie z nami? szeptało mu coś w mózgu. Jeżeli umieramy całkowicie jakże nędzną igraszką jest komedya naszego bytu, wszystkie jej walki i nadzieje! Nieśmiertelni co tam robić będziemy przez nieskończoną wieczność?

Od dziś za sto lat gdzie się znajdę? gdzie szukać tych dzisiejszych mieszkańców ziemi, oraz mieszkańców innych planet? Umrzéć na zawsze, istniéć, tylko przez chwilę, co za urągowisko!... sto razy lepiej wcale się nie rodzić.

Lecz jeśli przeznaczeniem naszem jest żyć wiecznie, nie mogąc w niczem zmienić fatalności jaka nas porywa, a mając przed sobą wieczność bez końca, jak znieść okrutny ciężar takiego przeznaczenia? I to ma być nasz los?

Zmęczeni egzystencyą podobną, nie będziemy mogli jej skrócić, zakończyć, przerwać!... męczarnia jeszcze sroższa niźli życie na ziemi, które ulata niby muszka przed chłodem nocy.

Pocośmy się rodzili? Aby cierpiéć niepewność jutra i widziéć, że z wszelkich naszych nadziei nie ostanie się żadna? Może aby żyć jak idyoci myśléć nieumiejący, a jeśli się zastanawiamy, dojść do szaleństwa.

Często błądził samotny po cmentarzach, szukając grobów i ulic najbardziej oddalonych, wsłuchując się w szmer wiatru i szelest zeschłych liści. To znowu szedł za miasto i w pośród drzew rozmawiając sam z sobą, przechadzał się godzinami całemi. Czasem od rana do nocy siedział w swojej pracowni, na placu Panteonu, a była to pracownia, sypialnia i salon, krajał mózg przyniesiony z kliniki i przez mikroskop rozpatrywał słoje szarej substancyi. Niepewność nauk zwanych pozytywnemi a nadewszystko własna bezsilność ducha w obec ważnych zagadnień, do rozpaczy go przywodziła: zastawałem go zgnębionym, wzrok miał błyszczący i zapatrzony w próżnię, ręce jak ogień, puls nierówny. Raz, w czasie ataku, zmuszony wyjść na kilka godzin, byłem pewny, że wróciwszy o piątej nie zastanę go już przy życiu, wracam a przed nim stoi flaszeczka z cyankiem potażu, którą schował bym ja nie widział.

Po chwili jednakże odzyskując zwykły spokój z pogodą w duszy i uśmiechem na ustach, woła:

— I na co! gdy jesteśmy nieśmiertelni nicby mi z tego nie przyszło! No, ale chciałbym prędzej wiedzieć...

Opowiedział mi poźniej, iż mu się zdawało, że konie unoszą go w górę, aż pod sufit, a następnie całym ciężarem spadł na podłogę.

W chwili, którą zaczynam moje opowiadanie, Jerzy Spero znanym był już, a nawet sławnym z prac naukowych, oryginalnych i kilku utworów literackich, które rozniosły jego imię po całym świecie. Choć nie miał jeszcze lat dwudziestu pięciu, miliony czytelników znały jego dzieła, których nie pisał dla ogółu publiczności, a które jednak zyskały powodzenie w kołach mniej światłych, spragnionych wiedzy, jaką posiada garstka wyżej oświecona. Ogłoszono go mistrzem nowej szkoły a pierwszorzędni krytycy, nie znając jego osoby ani wieku, głosili o „jego doktrynach”.

Jakim sposobem dziwny ten filozof, poważny badacz znalazł się u stóp pięknej kobiety, o zachodzie słońca, sam na tarasie, gdzieśmy go dziś widzieli? Przekonamy się zaraz w dalszym ciągu.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Katarzyna pomimo pozornej obojętności, czuła że siły ją opuszczają.

Wyżej przytoczona rozmowa z mężem obudziła w niej wyrzuty sumienia i spotęgowała rozdrażnienie nerwowe. Obecność Lucyana w takiej chwili nie przyczyniała się bynajmniej do jej uspokojenia.

Po raz już drugi dzisiaj doznawała uczucia niewypowiedzianej trwogi; spokój duszy i pogoda umysłu odleciały od niej bezpowrotnie.

W obec tego męża, którego uważała tylko za przyjaciela i ktorego ukochała całą siłą duszy, czuła się tak występną i upokorzoną, że sama dla siebie nie znajdowała dość ostrych słów pogardy.

Nigdy jej to na myśl nie przyszło, że kiedyś musi wybierać między mężem a kochankiem, że obowiązek z zakazaną miłością w żaden sposób pogodzić się nie da. Co gorsza, walka z namiętnością nie była już teraz tajemnicą dla męża.

Niedawno rumieniła się na samo przypuszczenie odkrycia tajników swej myśli przed Lucyanem; wszak odjechała umyślnie, aby przytłumić zbyt żywe uderzenia swego serca; w obec samej siebie nie śmiała nawet wyznać prawdy, a teraz mało ją to obchodziło, że ktoś czyta jasno w jej myśli.

Pieszczotliwe, magnetyczne spojrzenie Lucyana przejmowało ją dreszczem rozkoszy i trwogi zarazem. Duma jej oburzała się na doznawane wrażenia w obec potęgi których siła woli niewiele już znaczyła.

Jakto, czyżby miała upaść tak nizko? Wprawdzie szacunek Lucyana był dla niej tarczą ochronną, wiedziała, że nigdy żadna myśl brudna, ziemska nie skalała idealnego związku ich dusz, lecz upokarzało ją to, że czuła się bezsilną jak dziecię.

Dotychczas bujali tak wysoko w przestworzu, że najmniejsza skaza nie zaćmiła ich miłości, która pozostała czystą jak owe śniegi niepokalane na szczytach niebotycznych gór.

Lecz teraz trudno byłoby łudzić się dłużej, wrodzona uczciwość nie dozwalała zamykać oczu na grożące jej niebezpieczeństwo i nazywać innem mianem uczucia, które bynajmniej nie zasługiwało już na tytuł niebiańskiej miłości.

Podniecona wyobraźnia i namiętnością rozpłomienione zmysły, dowodziły tego aż nazbyt jasno.

Duch jej buntował się przeciwko prawu i obowiązkom, marzyła że jest aniołem, lecz jakże gorzko się rozczarowała.

Doznawała takiego uczucia jak ktoś staczający się zwolna po pochyłości; olśniona potęgą gwałto-

wnej miłości, nie wiedziała czy potrafi utrzymać się nad brzegiem przepaści.

— Czemże jest zapał i poezya? — mówiła sobie w duszy — czczym pozorem służącym do osłonięcia kałuży w którą wcześniej lub później mimowolnie wpadamy. A co wtedy stanie się z naszą wzniosłą miłością? Zrodzona wśród obłoków, uleci może bezpowrotnie po zetknięciu z rzeczywistością... Kto wie, ile w niej było duchowego a ile ziemskiego pierwiastku...

W ten sposób Katarzyna snuła dalej wątek swoich myśli, nierozumiejąc, że same te zapytania i wątpliwości były już połową przegranej.

Obecność Lucyana, który był wcieleniem wszystkich jej marzeń, nie wpływała kojąco na rozdrażniony umysł młodej kobiety.

— Wszak on cierpi niemniej ode mnie — myślała — i jego serce nie wie na którą przechylić się stronę, na stronę honoru czy miłości. Mamże więc cofnąć się i pozostawić go na pastwę rozpaczy? Nie, stokroć nie, lepiej wyznać wzajemne nasze cierpienia, dozwolić wspólnie spłynąć łzom goryczy i w tem wyznaniu zaczerpnąć sił do dalszej walki... Cnota ani honor nic na tem nie stracą, że usta wypowiedzą to co już dawno wypowiedziały oczy!...

Katarzyna mówiła to sobie w dobrej wierze, nieprzypuszczając, że krok ledwo jeden dzielił ją od hańby. Lecz jak kropla wody nie zaspokoi pragnienia ust spalonych gorączką, tak i ją niezadawalniało już nieme wyznanie miłości.

Zaślepiona namiętnością nie chciała widzieć dokąd może ją ona zaprowadzić.

Lecz pan Levallier myślał za to o tem z nieopisaną trwogą w duszy. Spokojny na pozór, bacznie śledził ruchy i wyraz twarzy żony i Lucyana.

Widział, że Katarzyna nie podała artyście ręki na powitanie, widział że ten ostatni smutny i zgnębiony w pierwszej chwili, promieniał teraz szczęściem. Zrozumiał więc niemą mowę młodej kobiety, pojął że jej milczenie nie wyrażało obojętności, lecz że lękała się nawet dotknięcia jego dłoni, aby nie wybuchnąć długo tłumionem uczuciem.

Maksym odgadywał powstrzymywane siłą woli słowa, ukradkowe spojrzenia, milczenie wymowniejsze od słów i tysiąc tajemniczych znaków jakiemi umie przemawiać miłość.

Zakochani sądzili, że sami tylko rozumieją się wzajemnie, o mężu zapomnieli nawet, że istnieje na świecie.

Lecz mąż niezawsze bywa głuchym i niewidomym, są chwile w których przeczuciem odgaduje to o czem nie powiadomiło go litościwe współczucie przyjaciół.

Serca Katarzyny i Lucyana uderzały jednozgodnym hymnem radości, podczas gdy bezgraniczna rozpacz miotała duszą Maksyma.

— Co czynić?—pytał się w duchu sam siebie— jak wyjść z tak trudnego położenia? Dziś jestem jeszcze człowiekiem godnym szacunku, lecz kto wie czy jutro hańba nie spadnie na moją głowę. Z ochotą oddałbym życie, aby tylko powstrzymać Katarzynę od popełnienia jakiego szaleństwa!... Tak, życie powinienem dla niej poświęcić, ale honoru nigdy... W obec Boga i ludzi jestem odpowiedzialny nietylko za mój ale także i żony mej honor... Przysiągłem jej miłość, opiekę i wsparcie, muszę więc ją bronić przed własnemi jej namiętnościami!... O Boże wskaż mi drogę i dodaj mi siły!...

— Odjechałeś pan tak nagle — odezwał się wreszcie pan Levallier przerywając zbyt długo trwające milczenie — że odjazd twój zadziwił nas wszystkich. Szczęściem wracasz pan równie niespodziewanie, właśnie wtedy kiedy pana najmniej oczekiwano. Powiedz mi pan, czy to przywilej wszystkich artystów, że nie lubią długo przebywać w jednej miejscowości?

— O! to zarzut niesłuszny! — zaprzeczył Lucyan.

— A mnie się zdaje, że tak jest w istocie, że artyści nietylko w tym razie zdradzają zmienność gustu i upodobań. Są to ludzie rządzący się zawsze kaprysem, idący za popędem rozbujałej swojej wyobraźni i zmieniający zdanie za lada wiatru powiewem.

— Podobne mniemanie byłoby zniewagą—podchwycił z żywością Borrèze.

— A jednak patrząc na pana i sądząc tylko z pozoru, zaczynam utrwalać się w tem przekonaniu...

— To jesteś pan w błędzie. My również jak cała ludzkość z której zawistni chcą nas wyłączyć...

— Przez szacunek, łaskawy panie...

— O! raczej przez zazdrość... Otóż my jak wielu innych, zmuszeni jesteśmy nieraz podróżować. Powołanie nasze usprawiedliwia ten gust do wędrówek, są jednak tacy, którzy za nic w świecie nie chcieliby się ruszać z miejsca.

— Do licha! odbiegamy jakoś od przedmiotu naszej rozmowy. Z krainy fantazyi wkraczamy w dziedzinę rzeczywistości. Przypominam panu jednak że każde usprawiedliwienie to niebezpieczne, każe się bowiem domyślać wyrzutów sumienia.

— Wyrzuty sumienia są jedynie następstwem jakiegoś nieuczciwego czynu, a nie możesz pan przecie wszystkich artystów posądzać o złość lub przewrotność; dlaczegóż więc mieliby podlegać wyrzutom sumienia?

— Może dlatego, że odjeżdżają za wcześnie a wracają za późno...

— W takim razie uczucie jakiego doznają należy nazwać nie wyrzutami sumienia lecz żalem i rozpaczą...

— O! przesadzasz pan; artyści pocieszają się szybko po każdym doznanym zawodzie, tembardziej jeżeli ktoś stara się ich pocieszyć.

— Bywają jednak nigdy niezabliźniające się rany.

— W istocie zależy to od rodzaju rany... — wtrącił z niechcenia Maksym:

— I od tego przez kogo były zadane — odparł Lucyan.

— Bezwątpienia — potwierdził pan Levallier.— Podług mnie wszyscy ludzie dzielą się na dwie kategorye: uczciwych i podłych. Mówię to o zwykłych śmiertelnikach nie mieszając do nich bynajmniej artystów, których charakteru nie znam tak dobrze, abym mógł być w tym razie kompetentnym sędzią. Pan lepiej niż ktokolwiek inny mógłbyś nas objaśnić jaki sąd należy wydać o nich.

Lucyan domyślał się, że Maksym musiał się czegoś dowiedzieć. Lecz pozorny spokój Katarzyny, która siedząc nieruchomie w fotelu, nie zdradzała niczem miotających nią wzruszeń, dodawał mu otuchy.

Jedynie nadzwyczajna bladość twarzy była dowodem wewnętrznej walki, którą młoda kobieta staczała sama z sobą.

Borrèze rad był, że zdarza mu się sposobność wypowiedzenia głośno swoich przekonań w obec pana Levallier. Wiedział, że znaczenie jego słów tylko dla Katarzyny będzie całkowicie zrozumiałem.

Zdawało mu się, że jej milczenie zachęca go do obrony praw kochanka w obec męża; to co chciał powiedzieć panu Levallier powiedziałby był Katarzynie, lepiej więc, że szczerze wygłosi swe zdanie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dwie nagrody.

Z pieniędzy, jakie przy Nowym Roku z przedpłaty na Gazetę Świąteczną (a więc od części ogółu) się zbiorą, przeznaczamy rubli 150 na dwie nagrody, jedna zapewne w ilości 100 rs., druga 50 rs. Zresztą podział tych pieniędzy pozostawiamy sędziom, którzy przyjmą na siebie ocenę prac ubiegających się o nagrodę. Teraz zastrzegamy tylko, iż jedna z nagród przeznaczona będzie za powiastkę; druga za artykuł czyli pisanie pouczające.

Przytem nagrody mają być zasądzone tylko za prace, które odpowiedzą wszystkim następującym warunkom:

1) Będą ułożone i napisane zupełnie zrozumiale dla wiejskich i miejskich czytelników.

2) Napisane umiejętnie, poprawnie i przydatne do drukowania w Gazecie Świątecznej bez żadnych zmian i poprawek.

3) Nie będą zbyt długie: powiastka może zajmować 200, a najwyżej 1000 wierszy druku (po 40 — 43 litery na wiersz), artykuł zaś 150—800 takichże wierszy.

4) Będą napisane z własnej głowy pisarza a więc nietłomaczone z obcego języka i nieprzepisywane z jakiej książki lub gazety.

5) Co do powiastki, ta powinna być zajmująca od początku do końca, a zarazem pod jakimkolwiek względem pożyteczna. Gdyby znalazły się dwie dobre i równej wartości powiastki, a jedna z nich była zabawna, rozśmieszająca czytelnika, to nagroda na korzyść jej pisarza wypadnie.

6) Co do artykułu, winien on być także napisany w sposób zajmujący dla wszystkich zarówno czytelników. Może to być opis dotyczący jakiejkolwiek nauki (*), albo odkrycia, wynalazku, pracy, zwyczajów, obyczajów, wychowania, sposobu życia, gospodarstwa domowego, spraw i potrzeb dzisiejszych, urządzeń prawnych i t. d. Musi jednak opierać się na gruntownej znajomości rzeczy. W razie wyboru dwóch artykułów jednakowej wartości, pierwszeństwo będzie przyznane krótszemu.

Rękopisy ubiegające się o nagrodę powinny być napisane wyraźnie, niezbyt drobno i niezbyt gęsto. Należy je przysyłać bez podpisu autora, tylko trzeba przy nagłówku oznaczyć, czy to jest powiastka, czy artykuł. Razem z rękopismem powinna być przysłana osobna koperta zapieczętowana, a kryjąca w sobie imię, nazwisko i miejsce zamieszkania pisarza. Na wierzchu tej koperty winien być powtórzony nagłówek powiastki lub artykułu. Koperty dołączone do tych prac, które sę-

(*) Np. fizyki, chemii, geologii, botaniki, zoologii, geografii, etnografii, historyi, prawa i t. d.

dziowie uznają za niezdatne do druku, spalimy bez rozpieczętowania.

Powiastki i artykuły uznane za zdatne do drukowania w Gazecie Świątecznej, a nienagrodzone, będziemy spożytkowywali w miarę możności i za opłatą od wiersza staną się one własnością wydawnictwa naszego.

Ostatnim terminem do nadsyłania rękopisów będzie 1-szy Marca 1888 roku.

Kazimierz Promyk,
pisarz Gazety Świątecznej.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W ostatnim dniu zeszłego roku, nabożeństwo wieczorne zwane nieszporami, rozpoczęło obchód jubileuszowy Papieża dzisiejszego Leona XIII.

W sam zaś dzień nowego roku, nabożeństwo odbyło się we wszystkich kościołach przepełnionych pobożnymi, przy których stały jeszcze tłumy bardzo liczne, niemogące już dostać się do wnętrza świątyń. Przed południem odezwały się dzwony ze wszystkich wieżyc kościołów katolickich i dzwonienie trwało godzinę, przez cały czas nabożeństwa odprawianego w tejże chwili przez Ojca Świętego w Rzymie w kościele Świętego Piotra.

Według wiadomości odebranych z Rzymu, dary jubileuszowe napływają ciągle, z których kosztowniejsze naczynia i przedmioty kościelne, rozdzielone będą między ubogich i kościoły całego świata. Z obrachunku dotychczasowego okazało się, że nadesłano przeszło 50,000 ornatów, komży, stuł i t. d. 30,000 kielichów i krucyfiksów, 40,000 lichtarzy, kandelabrów, cyboryów i t.d. i t d. Między innemi nadszedł w ostatnich dniach ze Lwowa ofiarowany przez zakonnice wspaniały płaszcz gronostajowy, oszacowany na 3000 złr. Dalej, ze Strasburga wielki zegar, będący wierną kopią miejscowego zegara katedralnego, z nieporównaną mechaniką; u samej góry zegara umieszczony jest piejący kogut, następnie dwie galerye, na górnej z nich stoi Chrystus i udziela błogosławieństwo dwunastu apostołom, którzy przesuwają się i przed Zbawicielem pochylają głowę; na niższej, mniejszej galeryi przesuwają się wózki, oznaczające dnie w tygodniu; słowem zegar ten jest arcydziełem mechaniki i ściąga mnóstwo ciekawych. Z Niemiec nadszedł jeszcze bardzo piękny ołtarz domowy z terrakoty. W oddziale włoskim zaś, odznacza się, między innemi ofiarowany przez arystokratyczny komitet damski w Rzymie, baldachim z najcięższego purpurowego aksamitu genueńskiego, z szerokiemi szczerozłotemi lampasami haftowanemi na brzegach i złotą frendzlą na 10 centymetrów długą; pod tym baldachimem stoi bogato rzeźbione i pozłacane krzesło tronowe, którego ustawianie zajęło cały tydzień czasu. Z Trydentu nadeszło 73 skrzyń, zawierających najróżnorodniejsze przedmioty jakoto: wody mineralne, ser, masło, miód, wino, scyzoryki, szczotki, dwie duże kolekcye minerałów i t. d., oprócz ozdób i bielizny kościelnej. Jakiś zapalony cyklista nadesłał Ojcu Ś-mu w darze welocyped, z Neapolu zaś nadeszła gondola, mająca przynajmniej 7 metrów długości. Panny Sercanki urządzają specyalną wystawę darów, nadesłanych z ich rozmaitych zakładów. Skrzyń z podarunkami z Belgii, Holandyi, Ameryki i Australii niezdołano nawet jeszcze rozpakować. Osobna sala przeznaczona jest na dary przesłane Ojcu Ś-mu przez potentatów i wybitne osobistości. Rodzina Pecci ofiarowała Papieżowi ilustrowany rodowód swego rodu, zawierający kopie fotograficzne starych portretów wszystkich przodków Ojca Ś-go.

Mrozy niezwykłe, nieznane już od lat wielu, jakie nas obecnie dotykają, powszechne wszędzie wywołują narzekania. U nas dochodząc do 20 stopni poniżej zera, dla zamożniejszych przynajmniej nie tak są dokuczliwe jak dla mieszkańców południowej Francyi, skarżących się na zimno 25 stopni trzymające. W okolicy Neapolu spadły śniegi nieznanej obfitości, rok więc nowy rozpoczął żywot w sposób nie bardzo ponętny. Nie przesądzajmy jednak przyszłości.

Zakończenia starego roku, w porównaniu z latami ubiegłemi, odbyło się w Warszawie bardzo skromnie. Prywatnych zebrań było niewiele i tylko w Towarzystwie wioślarskim huczno i wesoło kończono rok stary.

Osób zebrało się z górą trzysta, tańczono w dwóch salonach. Przed rozpoczęciem tańców, orkiestra zagrała poloneza, a następnie bal otwarto walcem.

Do kontredansa stanęło par 70, a do pierwszego mazura 80. Zabawa przeciągnęła się do późna, a do tak zwanego mazura białego stanęło również około 60 par.

Na ulicy Miodowej u subiektów zabawa odrazu rozpoczęła się od tańców; na Długiej, w drugiem podobnem stowarzyszeniu poprzedzoną została koncertem.

O godzinie 12 i tu i tam życzono sobie, by nadeszły już rok nowy był jak najlepszy.

W dalszym żywocie karnawału bardzo krótko trwać mającego zaledwie do 10 Lutego, mają się odbyć bale na Przytulisko, studencki i na szpitalik dziecięcy. Zamiary urządzania balów kostyumowych upadły, wydatki bowiem na sprawienie kostyumów były zawielkie.

Dawniejszych gości karnawałowych ze wsi dotąd nie ma i pewno nie będzie, a bez nich kupcy i rozmaici procederzyści nie spodziewają się, aby ruch handlowy był ożywiony.

Co do wieczorów w domach prywatnych, o ile nam wiadomo, wszędzie powzięto zamiar bawienia się dobrze ale... tanio.

W myśl tej zasady kosztowne przyjęcia i zbytkowne tualety dam zostaną zaniedbane.

Wartoby wznowić wieczorki wełniane z całym obowiązującym ją regulaminem.

Wieczorki te w wielu kółkach towarzyskich cieszyły się przed kilkoma laty wielkiem powodzeniem.

Jedną z najbardziej dodatnich stron wieczorków wełnianych, były ściśle oznaczone godziny początku i końca zabawy, co dla ludzi pracy ma znanie niepoślednie.

Korespondent z gubernii mińskiej pisze pod d. 29 b. m., co następuje:

„Przepowiednia Falba na r. b. w stronach borysowskich sprawdziła się w części.

Dnia 22 zeszłego miesiąca, o godzinie 11 rano, jednocześnie w kilku miejscowościach, a mianowicie: w Pleszczenicach, Petrolinie, Żerdziarzu, Okołowie i Mściżu, usłyszano nadzwyczaj silny huk podziemny, podobny do grzmotów.

W tejże chwili w wielu domach szyby zatrzęsły się gwałtownie.

Mieszkańcy miasteczka Mściż sądzili, że huk pochodzi ze strzałów armatnich w odległej o 5 wiorst powiatowej mieścinie Borysowie.

Zjawisko sprawiło silne wrażenie na okolicznych mieszkańcach.

Ekscesarzowa Eugenia ukończywszy kuracyę w Amsterdamie, udała się do Brukseli.

W powierzchowności byłej władczyni Francyi zaszły przez kilka ostatnich miesięcy wielkie zmiany. Po śmierci syna upadła wprawdzie tak na siłach, że już od roku 1879-go chodziła o kiju, twarz jej wszakże nosiło zawsze jeszcze wyraźne ślady niepospolitej piękności. Dzisiaj jest ekscesarzowa Eugenia tak moralnie jak i fizycznie zupełnie złamaną.

Jakkolwiek nie ma jeszcze lat 60-ciu a wygląda na 80-cioletnią staruszkę. Zwykłą jej rezydencyą w Brukseli jest hotel Bellevue, sąsiadujący z pałacem królewskim; nie przyjmuje ona nikogo, oprócz księcia Wiktora Napoleona, który od pewnego czasu stał się jej ulubieńcem. Ekscesarzowa Francyi wie dobrze, iż jakkolwiek jest sąsiadką króla Belgii odwiedzin jego spodziewać się nie może. Po ucieczce bowiem cesarzowej Eugenii dnia 3-go Września 1870 roku znaleziono w Tuileryach dokumenty, które dowodziły niezaprzeczalnie, iż cesarz Napoleon III-ci w razie szczęśliwego wyniku wojny z Prusami, miał stanowczy zamiar anektowania Belgii. Od owego czasu serdeczne stosunki, jakie oddawna wiązały dynastyę napoleońską z Loeopoldem I-szym, zostały zupełnie zerwane.

Książę Wiktor Napoleon był pierwszym księciem napoleońskim, który od roku 1870-go został przyjęty przez króla Belgii, a i wówczas brukselski organ urzędowy doniósł, że król przyjmował siostrzeńca króla Humberta.

Przeciw gorsetom niejednokrotnie już powstawali lekarze i hygieniści, jako szkodliwym dla zdrowia niewieściego, daremne jednak były ich rozumowania i zabiegi, gdyż narzędzie tortury znajdowało najsilniejsze poparcie właśnie u samych udręczonych. Płeć piękna poddawała się mężnie dobrowolnemu męczeństwu, aby módz czarować zgrabną figurką. Nareszcie jednak i tu przyszła reakcya.

W gronie znaczniejszej liczby warszawianek podjętą została myśl wypowiedzenia wojny dręczącemu przyrządowi. W tym celu panie te mają zamiar zawiązać stowarzyszenie, którego członkinie zobowiążą się nie używać gorsetów, a przytem i propagować wszędzie swoją ideę. Projekt to może i dobry, lecz nie wierzymy w jego powodzenie, bo...

Bo w gronie inicyatorek znajdują się dotychczas same poważniejsze panie, a dopiero pozyskanie młodych, niezamężnych adeptek, mogłoby zapewnić trwałe powodzenie dla tej zbawiennej reakcyi.

— Iks jest tak skąpy, że raz pijąc u niego wodę, wyraźnie widziałem, że mi jej żałuje.

— To być bardzo może, ale żona jego jeszcze skąpsza, bo żałuje mi nawet tej której nie piję.

* * *

Amerykańska reklama. W jednem z licznych pism polskich, za oceanem wychodzących, znajdujemy następujące ogłoszenie:

„Chcesz być królem? Król w tym kraju nie w zwyczaju; tym w tej dobie cię nie zrobię. Ale jeśliś człeku łysy, czyli gołą masz już banię, to wypełnię twe kaprysy, włos ci świeży znów powstanie. Ja mam taką medycynę, co jak puścisz na nią ślinę i tem potrzesz głowę, brodę, wnet urosną włosy młode. Choć u Bismara—niech go pioruny!—urosną zara gęste kołtuny. Moje cuda, moje twory, chwalą wszystkie profesory, po maść piszą króle, dwory, adresując: G. F. Story."

* * *

Roztargniony niejaki pan Silas Rutherfield, krytyk artystyczny pisma londyńskiego *Morning Advertiser*, bardzo często lubił zaglądać do butelki. Pewnego dnia, dobrze podchmielony, udał się do muzeum brytańskiego dla obejrzenia świeżo wystawionych tamże obrazów i napisania o nich krytyki. Wszedłszy do przedpokoju stanął przed lustrem i w mniewaniu, że ma przed sobą obraz, popatrzał uważnie przez chwilę na odbijającą się w niem twarz, wyjął książeczkę i zaczął notować: „Pierwszy salon. Głowa pijaka, bez podpisu: Bardzo charakterystyczna. Twarz obrzmiała, nos czerwony, przedstawione z niesłychaną wiernością. W każdym razie portret z natury. Zresztą i ja sam musiałem gdzieś spotkać oryginał." Nazajutrz w *Morning Advertiser* ukazał się dłuższy artykuł pióra p. Rutherfield, gdzie „głowie pijaka" poświęcona była połowa szpalty z wielkiem uznaniem dla niepospolitego talentu nieznajomego malarza

* * *

O białą kawę. Niedawno dzienniki czeskie toczyły między sobą zawziętą polemikę — o filiżankę białej kawy. Na odbytem niedawno w Pradze młodoczeskim mityngu, dr. Edward Gregr, słynny przywódca tego stronnictwa, począł bardzo patetycznie opowiadać o gwałtownem biciu serca, jakiego doznał, wracając z Wiednia, z Rady Państwa, gdy pociąg, którym jechał, wpadł szybkim biegiem na ziemię czeską; jak łzy stanęły mu w oczach, na widok pierwszej czeskiej rzeki i zagonów ojczystego kraju i jak w końcu rozpłakał się na dobre, gdy zobaczył pierwszego wieśniaka czeskiego na peronie następnej stacyi. „Narodni Listy" również wzruszająco opisały ten mityng i słowa Gregra; na to katolicki organ „Czech" zamieścił artykuł, w którym wyraża swą wątpliwość co do owych wzruszeń i na dowód przytacza, iż poseł młodoczeski, wysiadłszy z wagonu na owej pierwszej stacyi Chlumec) nie płakał bynajmniej, lecz zawołał na kelnera w języku wrogów: „*Einen weissen Kaffee.*" Młodoczeskie pisma twierdziły, że p. Gregr wcale kawy nie pił, staroczeskie — że pił i tak przez cały tydzień szpalty dzienników zapełnione były artykułami noszącemi tytuł: „O Bilou kawu."

* * *

Rozmowa.

Dandys: „O pani, nie mogę znieść, abyś sama siedziała. Siądę więc koło niej."

Dama: „O, proszę, nie trudź się pan— najlepiej nudzę się sama."

RÓŻNE MYŚLI.

Wszędzie szlachetne dusze są bratnie.

Florian.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nowy śpiewnik warszawski składający się przeważnie ze śpiewek popularnych i niektórych deklamacyi zebranych i ułożonych przez Józefa Cybulskiego, art. dram. Nakład księgarni G. Centnerszwera.

Nakładem Władysława Bednawskiego wyszły bardzo starannie wydane następujące kalendarze:

1) Kalendarz do zrywania kartek.
2) „ ścienny ozdobny.
3) „ ścienny biórowy.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 1 wyszedł z druku i zawiera:

Postanowienie. — Pogadanki z nauczycielem. — Nowy Rok 1888 (z drzeworytem). — Cztery pragnienia (komedyjka). — Droga do Zakopanego (z drzew.) — Drózd Kos (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Myśli. — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Doświadczenie Janinki. — Kachna i Halina (wiersz). Wróbelek (z drzeworytem). — Niezgoda (wiersz). Winowajca. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie s. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna* Nr 26 nowy.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Декабря 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.